Nr. 4. Lwów, 1. marca 1897. r. Wydawnictwa Rok XX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiaca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzace dwa razy na miesiac: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półrocznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce południ., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesyłać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesyłać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Po Sejmie.

Sesją dróg, możemy śmiało nazwać ubiegłą sesję sejmową. Nie tylko dlatego, że uchwalono na niej ważny bardzo projekt reformy ustawy drogowej, lecz także z powodu, że szukano i znaleziono... drogi, prowadzące różne stronnictwa do zgody i jedności.

Praca na gruncie narodowym, jest jednym z tych środków, które zacierają różnice partyjne i stanowe, a dążą do podniesienia wszystkich.

Nie dziw więc, że większość sejmowa, w niektórych sprawach podała rękę młodemu klubowi posłów stronnictwa ludowego.

Prawda, że również reprezentanci tego ludu, zrozumieli doskonale, że w ciele ustawodawczem, wśród rozmaitego rodzaju pragnień i prawdziwego chaosu żądań, te tylko spełnić się dadzą, które rzeczywiście mają na celu podniesienie ekonomiczne kraju i jego rozwój, a których spełnienie nie zwichnie równowagi budżetowej.

Tak było przy reformie ustawy drogowej, gdzie poseł Bojko okazał wytrawność polityczną. Dwa szczególnie momenty były nadzwyczaj ważne. Pierwszy i główny, gdy Wydział krajowy przez usta swego Marszałka zapowiedział, że kierunek reformy naszego ustawodawstwa krajowego, zachowany w uchwalonej ustawie drogowej, będzie odtąd decydującym dla naszej najwyższej autonomicznej magistratury.

A zatem reforma ustawy gminnej z uwzględnieniem potrzeb i stanu ekonomicznego biedniejszej ludności kraju, pojawi się niedługo na stole marszałkowskim.

Drugim momentem, to uchwała jednogłośna Izby poselskiej, aby odnowiony Wawel oddać naszemu Monarsze, jako rezydencję królewską ofiarowaną mu przez kraj.

W dzisiejszem naszem narodowem położeniu, gdzie ucisk i prześladowania, zdają się przechodzić punkt kulminacyjny, a w Prusach nastąpiło poprostu zdziczenie polityczne, uchwała powyższa i odpowiedź na nią Monarchy austrjackiego, odpowiedź, która w ostatnim dniu sesji nadeszła na ręce Marszałka z Wiednia, stanowią do pewnego stopnia fakt, przerastający swoją stylowością historyczną i etyką narodowościową o całe niebo marne i trujące fakciki pruskiego robactwa, które jakby dla tego tylko było na świecie, aby stanowić dowód, że ludożerstwo na rozmaity sposób praktykowane być może...

Jak więc krótka sesja sejmowa co do czasu, stała się w skutkach swych doniosła dla kraju i jego ludności.

Oby przyszła była jej podobną!

Sprawy bieżące.

Wybory.

Wśród naszej delegacji w austrjackiej Radzie państwa, dr. Emil byk odrazu zajął stanowisko, nie tylko wybitne, ale i pożyteczne. Działalność tego posła, nie ograniczała się bynajmniej na wewnętrznej pracy Koła polskiego, lecz w pełnej Radzie państwa manifestowała się z jednej strony gruntowną znajomością stosunków społecznych i ekonomicznych, z drugiej patrjotyczną solidarnością z Kołem polskiem i z tem wszystkiem, co dotyka głęboko interesów narodu polskiego. dr. Emil Byk okazał się wytrawnym perlamentarzystą, dzielnym mówcą, pracowitym a pilnym posłem i rozumnym patrjotą polskim.

Jak wiadomo, dr. Byk był wybrany do Rady państwa z okręgu Brody — Złoczów. Zasłużył on od swoich wyborców, nie tylko na zupełne *votum* zaufania, lecz na szczere i gorące poparcie obecnej kandydatury posła, który ich tak dzielnie w Radzie państwa reprezentował.

Pisma codzienne doniosły już, że dr. Emil Byk, przez szerokie grono wyborców postawiony jest na posła do Rady państwa z tego samego okręgu, co poprzednio. Doprawdy, byłoby poprostu nonsensem, marnowaniem czasu, zachodów — jednem słowem próżniactwem publicznem, jeśli nie kołowacizną, gdyby w okręgu Brody — Złoczów, stawiano jaką inną kandydaturę. Co do wyboru dr. Byka z tego okręgu, nie może być dwóch zdań, raz dla tego, że dotychczasowemu posłowi temu za gorliwą, zdolną i pożyteczną pracę, należy się bezwarunkowe uznanie w formie ponownego wyboru, a powtóre, jeśli tak jest, to się nie komplikuje sytuacji wyborczej, lecz ją się upraszcza, niepotrzebna agitację obraca się w inna stronę, nadaje jej się inny kierunek — tam gdzie jej potrzeba.

Zajmując się w ogóle wyborami do Rady państwa, przynajmniej tymi, które bliżej nas interesują, uważaliśmy za stosowne napisać słów kilka o ponownej kandydaturze na posła do Rady państwa dr. Emila Byka, nie dla tego, aby kandydatura ta potrzebowała z naszej, lub z czyjejkolwiek strony poparcia, bo stanowisko jakie zajął ten poseł i jego własna praca, popierają ją dzielnie — lecz pragniemy, bez żadnych zastrzeżeń przyłączyć się do tych głosów pełnego uznania, które zamieszczone zostały w codziennych pismach dla dr. Byka, a więc w organach specjalnie poświęconych naszej wyborczej polityce, a solidaryzujemy się z tem uznaniem, gdyż jesteśmy tylko publicznym wyrazem tego, co żywią wyborcy dotychczasowi dla dr. Emila Byka i że my właśnie, jako publicyści, należeliśmy do tych, którzy gorąco i skutecznie popierali wybór tego posła poprzedniej kadencji.

Z bardzo poważnego i patrjotycznego grona wyborców lwowskich piątej kurji, wyłoniła się sympatyczna kandydatura dra Józefa Weigla na posła do Rady państwa. Rzeczywiście, bezstronnie biorąc i nie hołdując żadnym stronnictwom, ani koterjom, dr. Józef Weigel, znany lekarz tutejszy i gorliwy rzecznik wszystkich ważniejszych spraw w radzie miejskiej, byłby niezawodnie najodpowiedniejszym reprezentantem interesów tych właśnie klas, które stanowią piątą kurję. Zdolny, pracowity, zapobiegliwy, jako lekarz, wyrozumiały, jako człowiek, a gorliwy w wykonywaniu obowiązków publicznych, jako obywatel — dr. Józef Weigel jest typem męża publicznego w dobrym i szlachetnym stylu. Demokratyczne jego przekonania, opierają się o głębokie zasady ludzkościowe, a odwaga cywilna, połączona z dokładną znajomością stosunków ekonomicznych i przemysłowych, stawia dra Józefa Weigla w rzędzie pożytecznych pracowników na niwie publicznej. Odznacza się też dr. Weigel sympatyczną szczerością w zapatrywaniu na sprawy publiczne, a ładnymi frazesami i obiecankami, chociażby gruszek na wierzbie zbyć się nie da, z łatwością stawiając argumenty, przeciwko silniejszym argumentom. Jest powszechnym wyrazem opinji publicznej, a właściwie jej gorącem życzeniem, aby wybór dra Weigla na posła do Rady państwa z kurji piątej przyszedł do skutku, gdyż rzeczywiście oddałby on prawdziwą korzyść interesom naszego społeczeństwa.

= Setna rocznica urodzin Mickiewicza.

W roku przyszłym przypada setna rocznica urodzin Adama Mickiewicza, jednego z największych genjuszów poetycznych polskich i całego świata. Potężna pieśń nieśmiertelnego poety chlubą jest narodu, chwałą literatury polskiej i powszechnej. Twórca „Ody do młodości“, „Grażyny“ i „Pana Tadeusza“, bożyszczem jest naszem. Pieśń jego wstrząsa i porywa, lub na skrzydłach swych unosi nas w cudny świat piękna, prawdy i najwznioślejszych ideałów ludzkości.

W roku 1898 przypada setna rocznica urodzin tego, co narodowi dał pieśń, jako świadectwo jego potęgi duchowej. Rocznicę tę, w dowód wdzięczności uczcić powinniśmy z całą powagą. Chodzi tu o złożenie hołdu największemu geniuszowi naszemu, a nie o czcze jakieś manifestacje.

Nie wątpimy, że przedstawiciele pióra i wybitni obywatele naszego kraju już wkrótce zajmą się tą sprawą, aby uradzić, jakie kształty należy nadać temu obchodowi, aby upamiętnić na zawsze setną rocznicę urodzin poety, a pierwszą

inicjatywę do tego powinien — zdaniem naszem — dać imiennik poety, mąż. który po nim odziedziczył lutnię, nasz E. . ły, Adam Asnyk Od niego powinien wyjść pierwszy głos wzywający do tworzenia komitetów, któreby się już teraz zajęły przygotowaniem wspaniałej uroczystości na uczczenie tej rocznicy.

= Z literatury.

Znakomity nasz pisarz, Henryk Sienkiewicz, rozpoczął w pismach warszawskich druk dwóch nowych powieści pt. „Na jasnym brzegu“ i „Krzyżacy“. Pierwsza dzieje się za naszych czasów na „Rivierze“, druga jest powieścią historyczną z czasów Władysława Jagiełły. Że obie są prześliczne zdaje się nie trzeba dodawać, wystarczy bowiem powiedzieć, że wyszły z pod pióra Sienkiewicza.

Adam Krechowiecki, redaktor *Gazety Lwowskiej*, autor kilka wybornych powieść, którego psychologiczną powieść współczesną pt. „Rdza“ drukuje *Kurjer warszawski*, przystąpił do napisania nowej powieści historycznej, osnutej na tle stosunków Polski z Multanami i Wołoszczyzną. Powieść ta wkrótce wyjdzie w wydaniu książkowem.

= Kobiety w parlamencie.

Pomiędzy ciekawymi objawami publicznego życia ostatniego tygodnia wybitne miejsce zajmuje uchwalenie przez parlament angielski bilu, mocą którego kobiety mają mieć prawo głosowania przy wyborach do parlamentu i mogą być wybierane na deputowanych.

Uchwała ta wywarła silne wrażenie, zarówno wśród zwolenników emancypacji kobiet i ich politycznego równouprawnienia, jak i u zachowawczych umysłów, które mniemają, że chwila tak gwałtownej rewolucji jeszcze nie nadeszła. Jak wiadomo, w Anglji stronnictwo zachowawcze popiera sprawę politycznej emancypacji kobiet.

= Jubileusz

Na cześć p. Michalskiego, jubilata w zawodzie rękodzielniczym, posła na sejm i drugiego wiceprezydenta Lwowa, urządziło Towarzystwo strzeleckie, którego p. Michalski jest prezesem, serdeczne przyjęcie. Mazurkiem Dąbrowskiego powitała kapela wchodzącego na salę strzelnicy jubilata, poczem pan A. Schuman, najstarszy członek Towarzystwa, po pięknej oracji wręczył mu wspaniały adres gratulacyjny. Następnie odbyła się uczta na przeszło 200 nakryć. W licznych, z prawdziwą szczerością nacechowanych toastach podnosili biesiadnicy poczciwą, zacną i niezmordowaną pracę p. Michalskiego, jako rękodzielnika, posła, obywatela, dobrego syna kościoła i ojczyzny.

= Pierwsze misjonarki polki.

Misją katolicką w Tyrnowie, w Bułgarji, zarządzają XX. Zmartwychwstańcy, wśród których jest jeden polak, braciszek Paweł Madzia. Misja pięknie się rozwija, szkoła prosperuje, ale na gwałt tam potrzeba było, aby ktoś zajął się szkołą dziewcząt. Niezbędne były zakonnice. Są w Adrjanopolu siostry francuski, ale te języka bułgarskiego wyuczyćby się nie mogły. Są siostry Miłosierdzia z Zagrzebia, kroatki, które już mają między sobą bułgarki, ale te iść tak daleko na misją nie chciały. Poszły tam więc Zmartwychwstanki polki. Na tę misją przeznaczono trzy zakonnice: Kazimirę Szydzikównę, Walerję Marcinkowską i Stefanię Strzałkowską.

„POHANA DEBRA“.

Powieść z życia hucułów

napisał

T. Czesław Łukawski.

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 2.)

III.

Pod szałasem na połoninie siedzi młody parobczak i duma. Słońce już ostatnimi blaskami płonie na zachodzie i czerwonym blaskiem złoci szczyty świerków, odbija się od ścian szałasu, igra z białą wełną owiec które z połonin wróciwszy, beczeniem swem napełniają powietrze i zwolna poczynają się układać do spoczynku.

Młody parobczak nie zważa na nic. Nie widzi, że słońce już znika po za górami i morzami, nie słyszy nawoływań mołojców z sąsiednich szałasów, lecz zatopiony w swych myślach patrzy ku dolinom, patrzy tak jakby je chciał, wraz z ludźmi przyciągnąć do siebie. Zdaje się, że tylko ciało jego tu się znajduje, a dusza przez w dal wpatrzone oczy uleciała i pobiegła tam, gdzie patrzały oczy gdzie pomknęły myśli mołojca.

Daniło, nim to bowiem był ów mołojec, myślami pobiegł do swej Oksany. Zdaje mu się, że tuli ją do swej piersi i mimowoli serce mu żywiej bije, a przecie westchnienie podnosi. Tak dawno jej nie widział, a tak serce rwie się do niej. Służba wstrzymuje go na połoninie, serce ciągnie ku połoninie. Gdyby jeno nie ta pohana debra, gdyby jeno nie ta polana, a padłby do nóg matce i poprowadził Oksanę do ślubu... Ale to przeklęte przez czarta miejsce — szkoda, że Oksana nie chce opuścić debry i przenieść się do wioski.

Szybko lecą Danile myśli po głowie, słybko i czas leci. Słońce już dawno zaszło, księżyc wypłynął na strop nieba i osrebrzył wierzchołki gór. Zdala doleciały uszu Daniły trzy fujarki, a skoczne kołomyjki przypomniały mu, że dziś w karczmie tany, bo to dziś prażnik. Zapewne Oksana przyjdzie także na tany. Jakżeby on ją chciał zobaczyć. Serce jego rwie się do niej.

Wszak to tak niedaleko. Mógłby zejść na dolinę i wrócić na rano. Zna przecież dobrze każdą ścieżkę, każdy przesmyk, będzie umiał przejść najkrótszą drogą.

Myśl ta zawitała mu w głowie i w jednej chwili myśl w czyn się przemieniła.

Daniło szybkim pędem puścił się w drogę.

Kiedy niekiedy, gdy księżyc zaświeci, widać jego smagłą postać między drzewami, jak skacze przez skały, urwiska przez powalone kłody i potoki, rozbija gąszcze lub staje na małym użytku, żegna się, tak straszne wydają się te zaklęte labirynty skał i jarów, te głuche puszcze świerkowe. Po chwili znów pędzi naprzód z jakąś dziką zaciekłością, jakby gnany wyższą nadeń siłą. Gunia wieje mu z ramion, niby płaszcz jakiejś wiedźmy nocnej, gdy ją wicher pędzi po „Czerwonym ługu.“

IV.

Przy gościńcu w karczmie gwarno i hałaśliwie. Z daleka już słychać skoczne dźwięki cymbałów zmieszane z głuchymi tonami basetli. Okna jaśnieją czerwonem światłem od płonącego zewnątrz ogniska. W szerokiej, dusznej izbie wieś się bawi ochoczo i niema żywej duszy, którejby twarz nie błyskała radością. Nawet stary Abramko, karczmarz, stojąc za szynkwasem w wytartym sajetowym chałacie w zatłuszczonej krymce na głowie, nakręca pejsy na palec i uśmiecha się jakoś zadowolony. Od czasu do czasu nalewa półkwaterek, nabija beczułkę piwa lub szwargocze coś niezrozumiale z żydówką, która warząc wieczerzę przy ognisku wita i pozdrawia wchodzących gości. Ludzie w izbie cisną się niby na odpust: na ławach w około stołów zasiedli tłumnie starsi, gawędzą, wykrzykują, wychylają szklanki, pykając z krótkich glinianych fajeczek. A na środku mołojcy wykręcają dziewczęta. Muzyka zagrała kołomyjkę. Wszyscy się rozstąpili. Jeden za drugim wysuwał się i tę lub ową mołodycię chwytał za rękę. Pary stanęły. Na takt zakręciły się, zrazu na miejscu, drobno, powoli, niby w deptaku, potem coraz żwawiej, prędzej, namiętniej, w końcu zaciekle, szalenie, aż szyby w oknach brzęczały. Mołojec odbiegł, wykręcił się jak opętany, wywinął w górę rękę i nuż się wyginać, wyskakiwać, wycinać hołubce, potem znów objął wpół dziewczynę wywinął nią jak piórkiem i z okrzykiem radości, że aż karczma się trzęsła, podbiegł z nią ku innym parom na boku. A potem śmiech, serdeczny, pusty i wesoły. Ten i ów uszczypnął dziewczynę, tamtę pocałował, trzecią objął wpół, aż go drugi odtrącił od niej rubasznie.

Ludek góralski się bawił, ów poczciwy tęskny ludek. Jakżeż mu twarze gorzały, oczy płonęły, jak mu serca biły! Rzekłbyś, że tu wiecznie mieszka szczęście, że hucuł nie zna smutku, nie gniecie go troska żadna...

Przy stole najbliżej szynkwasu toczy się tymczasem ożywiona rozmowa. W otoczeniu kilku górali siedzi Maksym i dowodzi coś dobitnie, bo za każdem wypowiedzeniem bije pięścią w stół, aż szklanki na stole podskakują.

Twarz jego zapłomieniona świadczy, że nie do jednego już zajrzał półkwaterka.

— A to mówię wam Wasylu, że głupstwa pleciecie, łąka jak najlepsza, stary wypasał na niej cały dobytek i jeszcze wołów parę, które przed śmiercią sprzedał w Sinoczem na jarmarku.

Wasyl, góral barczysty, z ryżym kołtuniastym włosem, machnął tylko w odpowiedzi ręką, jakby chciał wyrazić swe o tem powątpiewanie.

Gniewało to pobereźnika.

— I czóżto nie wierzycie? spytał podrażniony.

— Wierzyć ta bo i bardzo nie mogę — odpowiada Wasyl. — Gadacie ta chwalicie. Alboć to nie wiem, że łąka na opoce leży. W posuchę ani krzty trawy na niej nie ujrzysz. A co pole ta i owies nie zawsze rodzi.

— Co? — huknął Maksym. — Owies nie rodzi! Słyszysz Mykito? — zwrócił się do drugiego, siedzącego najbliżej. — Owies nie rodzi! A gdzieżeście to widzieli lepsze zagony, jak mają w „Zadebrzysku“? Niech wam on powie, toż zasiewa tam także kawał pola.

Pociągnięty na świadectwo Mykita, podrapał się ręką w głowę, zanim odpowiedział.

— Maksym prawdę mówi, Wasylu. Pole nie najgorsze. Ziemia jakto nasza, żyta na niej nie zbierzesz.

— A widzicie! Co to się i mądrzyć. Powie wam nawet Fed'ko, toż zna je także.

—Tak, tak, nie gorsze od waszego — potwierdza z za stołu Fed'ko, popijając swe zdanie haustem piwa.

Nie przekonuje to wszakże jeszcze Wasyla, gdyż ponownie macha ręką.

— Co mi tam patrzeć na drugich, słucham swojej głowy.

— To nie chcesz?

— Tego nie mówię. Radbym wziąć wasze zagony Maksymie w arendę, bo mi z moich nie wyżyć. Rodzina duża, przybył do niej Daniło, ale chcecie drogo, tyle dać nie mogę.

— Drogo? Piędziesiąt lewych*) w rok to drogo? — żżymał się Maksym.

— Dam trzydzieści.

— Mało.

— Zapłacę rzetelnie przy świadkach.

— Ha! ha! trzydzieści! A toż wolałbym, żeby mi leżało odłogiem, niżbym je za tak marne miał puszczać pieniądze.

— Wolicie? Niechże leży odłogiem. Nikt wam teraz w połowie lata pola nie weźmie.

— No uważnie Wasylu — wtrąca znów Mykita — przecież odłogiem ono nie leży. Łąka nie spaszona, rolę zasiał i obrobił Dmytro, ojciec Maksyma. Toż gdyby był nie umarł nie puszczał by go Maksym w obce ręce.

— Samemu mi pola nie dojrzeć, ani obrobić — dorzucił pobereźnik.

— Wiem, pilnujcie służby w kniei. Lecz cóż, dać tyle nie mogę.

— E co tam, trzymaj je jeszcze Maksymie — zawołał Fed'ko z za stołu. — A nuż się ożenisz, przyda ci się pole.

I zaśmiał się na całe gardło, rad ze swego konceptu.

—Nie wtrącaj się głupi, kiedy lepszego nic nie wiesz — odciął mu gniewnie Maksym.

Na taką odpowiedź zmieszał się Fed'ko.

— Toż żonę teraz nie weźmie, gdy ojca pochował — tłumaczył Mykita od siebie.

— Prawda i to, prawda — bąkał zakłopotany, widząc niewczesne swoje odezwanie się. Chcąc je więc jakoś nadrobić, znów łyknął sporo z blaszanej kwarty.

— No i jakże? — spytał Maksym Wasyla — Dacie czy nie?

*) Złoty reński.

— Dam trzydzieści.

— No, no, postąpcie Wasylu, przecie w samą porę wam się przydarza — przymawia Mykita.

— Dam trzydzieści pięć.

— Mało — mówi Maksym.

— Czterdzieści, chcecie? — Ostatnie słowo, więcej nie dam ani dytka*).

I mówiąc to Wasyl jakby chciał skończyć targi, uderzył pięścią w stół.

— Hej! Abrumko, dawaj horyłki!

Abramko, co prędzej wysunął się z za szynkwasu a stawiając na stole kwartę wódki, trącił łokciem Maksyma.

— Ny, bierzcie, Maksymie, bierzcie — szepnął mu cicho. — Więcej nikt nie da, na co wam pole? Wy przecie lasowy u panów.

Pobereżnik chciał wysypać całą litanię wymysłów na żyda, ostatni wszakże argument pochlebił mu widać w duszy, bo uśmiechnął się tylko nieznacznie.

— Dawaj jeszcze kwartę! — zawołał. — I piwa dwa garnce, a zwracając się do Wasyla dodał:

— Niechże stanie na waszem. Zgoda! Bierzcie od jutra pole i łąkę.

— Zgoda! — zawtórował Mykita.

— Tak, tak, zgoda, hej mohorycz! — krzyknął Fed'ko z za stołu a inni powtórzyli. Wasyl odpiął pas szeroki z bioder, wydobył zeń zwitek banknotów i położył przed pobereżnikiem na stole cztery zabrudzone, sine papierki. Maksym zgarnął je.

Teraz poczęła się dopiero istotna zabawa, wesoła rozmowa przeplatana okrzykami, w których głos Fed'ka wielce górował.

Pośród gwarnego, wesołego towarzystwa przeciska się jakaś postać kobieca, szukając widocznie kogoś, bo oczy jej uważnie błądzą po obecnych.

Spostrzegłszy Maksyma, zbliżyła się do stołu, trącając go łokciem.

Pobereżnik odwrócił się gniewnie.

Przed nim stała wychudła, koścista kobieta w łachmanach, o twarzy zżółkniałej, wykrzywionej. Sądząc z jej licznych zmarszczek i pooranego czoła, które w połowie zasłaniał brudny, jaskrawy czepiec, musiała już być bardzo starą, ale oczy kobiety pełne jeszcze życia, w tej chwili dziwnie wyiskrzone, świadczyły o niezagasłych jeszcze w duszy uczuciach i namiętnościach.

— Jaga! — krzyknął Maksym. — Czego chcesz odemnie?

— Chodź ze mną! Zobaczysz kogoś — odpowiedziała tajemniczo przybyła.

— Kogo? Co zobaczę? — krzyczał rozochocony Maksym. — Idź do djabła czarownico!

— Głupiś! Chodź mówię ze mną, zobaczysz dziewczynę z Pohanej debry.

— Dziewczynę? Z Pohanej debry? Oksanę?... — spytał. — A ty skąd wiesz, że....

— Wiem wszystko. Co djabeł nie wie, to wie Jaga. Ty kochasz Oksanę, chodź, zobaczysz jak grucha z mołojcem.

Maksym zbladł, zaniemiał. Zerwał się jakby weń piorun uderzył, a chwytając w rękę strzelbę zabierał się do odejścia.

— A co to, idziecie Maksymie? — spytał Wasyl, widząc wstającego od stołu Maksyma.

— Idę, poczekajcie na mnie!

— Oj, oj, jak tę Jagę czuć kadzidłem! — zaśmiał się Fed'ko. — Ta Jaga i tak po całej wsi leki rozdaje, a i czarować potrafi.

— Milcz kruku! — odcięła stara w łachmanach.

— Ej, słuchajcie no! Co to ona mówiła o dziewczynie z Pohanej debry?

— Nic! Pijanyś i nie wiesz co pleciesz — odparł Maksym.

— Ja pijany, a z czego? Ale dziewczyna z tartaku harna — ciągnął swoje Fed'ko — tylko, że patrzy na nas, jak owca na zamulone siano.

— Milcz głupi!

— Aj co harna, to harna — wtrącił do rozmowy żyd z za szynkwasu. — Tylko, że siedzi na tej debrze.... pohanej..... tfy!..,

*) W narzeczu ludu rusińskiego oznacza tyle co dwa centy.

I splunąwszy, zaśmiał się serdecznie kontent z dowcipu, tembardziej, że i całe audytorjum głośnym wybuchło śmiechem.

— Aby czasem Jaga nie spojrzała na nią złem okiem! — dorzucił jeszcze Fed'ko.

— Oj, żebyś ty tak zmarniał, głupcze — odfukła Jaga, pociągając z izby Maksyma. — Czemu nieczystym językiem zaczepiasz starszych, kiedy masz jeszcze mleko na brodzie.

— Ty czarownica, wiem to! — krzyczał na cały głos Fed'ko. — Ale co tam, dawaj Abrumko wódki! Kiedy prażnik, niech człowiek popamięta! — zakończył pijany, powalając się na ławę.

Głośny śmiech zgromadzonych towarzyszył tej katastrofie Fed'ka i zagłuszył nawet dźwięki dominującej w tej chwili basetli.

Pobereżnik wyszedł z Jagą przed karczmę. Tu dopiero mógł odetchnąć, zazgrzytać zębami; chwycił rękę znachorki.

— Mów wiedźmo, gdzie widziałaś dziewczynę?

— Cicho — odpowiedziała Jaga. — Widziałam przed chwilą, jak zaglądała w okna, kręciła się koło karczmy. Pomyślałam sobie, pewnie szuka Daniły. Ona kocha tego przybłędę, wiem to, widziałam ich już nieraz razem. Śledziłam ją tedy uważnie, aż tu patrzę, biegnie z za rzeki Daniło. Skryli się teraz oboje do ogrodu za karczmę, chodź, posłuchasz.

Pobereżnik ruszył za znachorką do ogrodu poza karczmę, chowając się za drzewami.

Noc już była późna i ciemność głęboka, księżyc bowiem skrył się za chmurami. Wtem doleciał ich szelest kroków i cicha rozmowa.

— Skryjmy się w zarośla — rzekła Jaga — Zobaczymy ich, skoro przejdą koło nas.

Maksym usłuchał.

Ścieżyną przez ogród zbliżały się dwie ciemne postacie, cicho z sobą zajęte rozmową.

Jaga mówiła prawdę. Był to Daniło i Oksana, tuląca się do mołojca.

Pobereżnik zgrzytnął, krew wszystka zawrzała mu w żyłach, wargi i ręce zadrżały od złości, a mimo to zaśmiał się cicho i mruknął:

— Nie mówiłem? Święta! do karczmy nie chodzi! A z przybłędą.... Czekaj, nie pocieszysz ty się nią długo, sokole, zobaczymy kto z nas lepszy....

W tej chwili podeszła para kochanków tak blizko, że wyraźnie można było słyszeć ich rozmowę.

— O, Daniło, jakże czekałam długo na ciebie — szeptała Oksana — lecz serce mi mówiło, że cię dzisiaj zobaczę. Gdybyś wiedział, jak tęsknię za tobą, nie zostawiałbyś mię samej tak długo!

— Nie mogłem przyjść prędzej, Oksano, — odpowiedział Daniło — pilnuję szałasów. Wiem, żeś dobra dla mnie i tylko dla ciebie przyszedłem.

— O jakże cię kocham za to! — wołała dziewczyna.

Góral uścisnął w odpowiedzi czule jej rękę.

— Przysięgłam przed Bogiem, że nie oddam innemu duszy mojej.

— Nie długo zejdę już do wsi, lecz teraz chodźmy, noc już późna, pójdę z tobą do mostu. Dziewczyna miłośnie spojrzała na Daniłę i zwróciła się z nim przez ogród w stronę gościńca.

— A co? hi! hi! słyszałeś? — spytała Jaga pobereżnika.

Maksym milczał. Zwiesił głowę na pierś i powolnym krokiem, zamyślony wszedł do karczmy. Chciał miotającą namiętność w duszy podsycić wódką. Nie odpowiadał nawet na liczne pytania rozochoconych przy szynkwasie towarzyszy, lecz wychyliwszy półkwaterek, przewiesił strzelbę na ramię i wyszedł niezwłocznie z karczmy.

Jaga śledziła go z podełba, a przystąpiwszy teraz do niego rzekła:

— Oj Maksymie, nie wyrwiesz ty jej od niego, ani jastrzębimi szponami. Kochasz Oksanę? Głupstwo, wybij ją sobie z głowy. To dumna dziewczna i ja jej nie cierpię!

Pobereżnik błędnem okiem popatrzył na znachorkę, jakby nie zrozumiał co mówiła.

— Dobranoc! — ozwał się po chwili.

— A dokąd pójdziesz?

— W góry!

— Ja pod Kryworoh do chaty. Dobranoc!

Znachorka znikła w krzakach za karczmą. Maksym stał, jakby wrósł w ziemię.

A więc to prawda... Dziewczyna odtrąciła go, pogardziła nim... Oksana kocha Daniłę. Daniło posiądzie ją, nazwie ją kiedyś swoją. A on sam? On będzie ostatnim nędznikiem na świecie, on pobereżnik, gospodarz we wsi, będzie gorszym od przybłędy, od pastucha, od tej marnej figury, która wysługiwać się musi. Nie, nie, nie!

Ręką uderzył po strzelbie.

Żmija zazdrości ugryzła go w serce, szarpiąc jego nerwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciekawe rzeczy.

* *Ludzie stuletni.* Pismo „Scentifice American" zamieściło statystykę ludzi stuletnich, żyjących obecnie. Według niej Niemcy liczą obecnie 78 mieszkańców, mających więcej niż sto lat; we Francji cyfra ta wynosi 213; w Hiszpanii, chociaż ludność wynosi tylko 18 milionów (we Francji 40 milionów, w Niemczech 55 milionów) żyje 401 ludzi stuletnich. W innych krajach cyfry te są następujące: w Anglii 146; w Islandji 578; w Szkocji 46; w Danii 2; w Belgii 6; w Szwecji 18; w Norwegii 23. W Szwajcarji nie ma ani jednego, za to jest ich sporo w okolicach tak niespokojnych, jak kraje zabałkańskie. W Serbji stuletnich ludzi żyje 578; w Rumunii 1,084; w Bułgarji 3,883; W Serbji 1890 r. żyło 290 osób mających od 106 do 115 lat, 123 od 115 do 125, 18 od 126 do 135 lat i 3 od 135 do 140 lat. Podłup „Scentifice," na które spada odpowiedzialność za tę statystykę, najstarszy człowiek żyje obecnie w Rosji, ma bowiem 160 lat, po nim pierwsze miejsce zajmuje negr afrykański nazwiskiem Bruno Cabrin w Buenos-Ayres, mający 150 lat.

* *Nauczyciel-maszyna.* Godny już i dziś pożałowania los nauczycieli i nauczycielek, ma znaleść w praktyce strasznego konkurenta, maszynę! Pełni zawsze pomysłowości yenkesi proponują zamienienie nauczających ludzi na wypełniające tę rolę maszyny. W tym celu przygotowano odpowiednio fonograf i pierwsze jego egzemplarze już pojawiły się w handlu, z bezdusznym chłodem wchodząc w straszną walkę konkurencyjną ze swoimi poprzednikami — ludźmi. Pierwsze takie fonografy przygotowano do nauczania języków. Fonograf wykład prowadzić będzie w 20 lekcjach. Pojedyncze lekcye ułożone są w system pytań i odpowiedzi. Liczbie lekcji odpowiada liczba walców. Uczeń wkłada kolejno odpowiednie walce i patrząc na podręcznik, słucha, jak fonograf wygłasza z rodzimym danej mowy akcentem, odnośne dźwięki. W razie potrzeby lekcję można powtarzać bez końca, nauczycielowi fonografowi nigdy ni czasu, ni cierpliwości nie zabraknie, a przytem i kosztów i tak stosunkowo małych bodaj największa ilość lekcyj nie podniesie. Biada więc wam nauczyciele i nauczycielki!

* *Polonez.* Piękny ten, pełen powagi taniec, jakim po dziś dzień rozpoczyna się każda uroczystość balowa, a który jest pochodzenia polskiego, już zaczyna być solą w oku wszelkim bismarczykom nie dla swego rodzaju, lecz dla tego, że taniec ten dotąd nazywany bywa polonezem, a ta nazwa każdemu czystej krwi bismarczykowi jest najwstrętniejszą w świecie. Proponowano zatem, aby ją porzucić i nazwać: „Ball Eröffnungsreigen!" — Śmieszną jest ta nienawiść do wszystkich objawów, jakie styczność mają z żywiołem polskim! Tymczasem pewien p. Th. B. Gall w dodatku niedzielnym poznańskiego Tagsblattu, widocznie nie przejęty tą nienawiścią, podaje wiadomość o początkach poloneza: Kiedy po śmierci ostatniego z Jagiellonów Henryk Walezjusz obrany królem koronowany był w Krakowie (d. 15. lutego 1574 r.) ułożono ten taniec na uroczystość koronacyjną, a tak króla zachwycił, że objawił życzenie, aby go jeszcze raz powtórzono. Uciekłszy tajemnie z

Krakowa w miesiącu lipcu, by objąć tron francuski po zmarłym bracie Karolu IX., przeniósł ten ulubiony sobie taniec do Francji i zaprowadził go na wszystkich uroczystościach dworskich. Z Paryża przeniósł się ten rodzaj tańca do Wiednia, Londynu, Berlina, a zrobił drugorzędnemi wszelkie dotychczasowe tańce, Bouree, Passepied, Gavotte, Allemande. W Berlinie stał się taniec ten po wszystkie czasy ulubionym i dziś Hohenzollernowie nim nie gardzą. Najsławniejsi mistrze muzyki jak Chopin, Mozart, Mendelsohn pokomponowali do tego tańca znane i sławne melodje. Któż nie zna klasycznych polonezów Chopina — poloneza Mozarta w „Weselu Figara", Mendelsohna w „Snie nocy letniej" i Moniuszki w „Hrabinie" ? Chociażby wiecznie zmieniająca się moda ze swymi kaprysami taniec ten wydalić miała ze sal balowych — — to te sławne kompozycje zdziałają, że znów powróci na swe królewskie stanowisko. — Jakże mizerną wobec tego uznania ogólnego jeet zachcianka bismarczyków z ich „Ball Eröffnungs-Reigen."

Występki i zbrodnie
skutkiem chorob.

Ażeby treść tytułem takim wskazaną obrobić wyczerpująco, trzebaby napisać dzieło, lub przynajmniej obszerną broszurę. Trzebaby, na podstawie nauki o duchowej stronie człowieka (psychologji), tudzież nauki o życiu jego ciała (fizjologji) i o układzie ustroju ludzkiego (anatomji) — przedstawić dokładnie, jaki stan człowieka pod względem duchowym i cielesnym — jest prawidłowy, a jaki chorobliwy, dalej — — należałoby wykazać, kiedy człowiek popada w stan chorobliwy duchowo z własnej winy, stając się też — bądź co bądź — winnym i następstw ztąd wynikających, a kiedy obwiniać go za to nie można: wreszcie, wypadałoby wyliczyć wszystkie szkody, które — skutkiem chorobliwości duchowej — ponoszą dotknięte nią jednostki, oraz ich rodziny i wszelkie otoczenie, jak również społeczeństwa, do których owe jednostki należą — a także i ludzkość cała.

Występki i zbrodnie skutkiem chorób, coraz straszniej ludzkość prześladują i to niemal wyłącznie w jej części, nibyto ucywilizowanej, niby najbardziej oświeconej. Niestety, smutny to nadzwyczaj owoc dzisiejszej tz. cywilizacii. Odwodząc ona ludzi od posłuszeństwa prawom przyrodzonym, oddaje ich na pastwę chorób cielesnych i idących za temi duchowych, a przez to popycha gwałtownie do najrozmaitszych występków i zbrodni. Jeżeli więc nie chce ludzkość, przy teraźniejszej oświacie, pogrążyć się w występku i zbrodni i zniszczeć marnie — to musi się upamiętać i przed taką cywilizacją stanowczo bronić.

Podejmowanie pracy w tym kierunku, jest świętym obowiązkiem wszystkich ludzi zdrowo myślących, jest sprawą ogólną ludzkości. W naszem zaś społeczeństwie — tak srodze trapionem przeróżną biedą — jest to rzeczą tem ważniejszą i tem pilniejszą.

Celem słów niniejszych jest pomówienie jak najwięźlejsze i w sposób dla każdego najprzystępniejszy, przynajmniej o najczęściej spotykanych przyczynach, objawach i skutkach występków i zbrodni, będących wynikiem zbrodni.

Otóż — przyczynami takiemi są głównie: rozstrój nerwów i zbytnie rozgrzanie krwi, a stąd burzliwość i gwałtowność umysłu i uczuć — przeto chorobliwy stan duchowy człowieka, spowodowany oczywiście tem, co rozstrój nerwów i ogólnie gwałtowne usposobienie sprowadza, więc chorobliwym stanem cielesnym. Przyczyną zaś takiego stanu jest w ogóle życie wbrew przyrodzie, jakoto: nadmiar pracy, siadywanie po nocach, a głównie używanie — często już od wieku dziecinnego alkoholu, kawy, herbaty chińskiej, czekolady, korzeni i owoców rozpalających, jak imbieru, gwoździków, pieprzu, papryki i tp., a także jadanie mięsa — i to często — zwłaszcza wieprzowego, które najbardziej rozpala. Używanie tych rzeczy sprawia to, że człowiek ma nerwy rozdrażnione, a krew rozpaloną i żyje w ogólności przyspieszonem tentnem, rzec można, po szalonemu. Zużywa się przed czasem, bo po prostu spala się prędko jego ustrój cielesny. Człowiek taki pędzi swe życie bez pożądanego zastanowienia się, gdyż o czemś podobnem u takiego nerwowca, a właściwie szaleńca, na utrapienie drugich na wolności zostającego, mowy być nie może. Jeżeli zaś kto oddaje się jeszcze w dodatku zbyt uciechom zmysłowym, popadnie w zakaźne choroby płciowe, a leczy się z nich środkami niszczącymi jego nerwy i cały ustrój, co wszystko razem po prostu go ogłupia i staje się istotą ludzką, nie będącą wcale podobną duchowo takiemu człowiekowi, jakim on ma być i powinien, albowiem jest wprost głuptasem, tz. idjotą. Nie jest to wszakże tylko głuptas, lecz zarazem i szaleniec, należący zwykle do szaleńców najwyższego stopnia, żyjących pośród świata na wolej nodze.

Oczywiście, postępki każdego nerwowca-szaleńca, tak dla zdrowia jego ciała, jako też pod każdym innym względem, muszą być niekorzystne. A jeśli będzie miał potomstwo, to przyjdzie ono na świat nieszczęśliwe, ponieważ z chorobliwym stanem całego swego ustroju.

A jakież to przykre — nieraz nawet rozpaczliwe — jest położenie najbliższego otoczenia osób, których stan nerwów jest chorobliwym! Dla osób takich powinny doprawdy istnieć odpowiednie zakłady publiczne w rodzaju szpitali, do którychby osoby te były brane przymusowo, skoro tylko swemu otoczeniu stają się przykre. Nie jest bowiem rzeczą słuszną, aby ludzie zdrowi i mający zdrowie swoje szanować, zostawali maltretowani przez chorych — i to częstokroć samochcąc. Chorzy więc nerwowcy-szaleńcy, zamiast denerwować innych, niech idą na swoje „złe godziny", czy „dnie", do szpitala. Tacy chorzy nie są też wstanie w y c h o w y w a ć d o b r z e d z i e c i i powinno im to być w z b r o n i o n e m. Brak im bowiem stanowczo potrzebnej do tego rozwagi i należytego spokoju.

U osób nerwawo chorych postępowanie ich zależy więcej od tz. humoru, podczas którego to miewają myśl pogodniejszą, a często całkiem jasną. W innym czasie są wprost nieznośni, żyjąc jakby na utrapienie tych, którzy wtenczas muszą się z nimi stykać.

Co to za straszny upadek człowieka, aby nie mógł być zawsze prawdziwie sobą, istotnie człowiekiem, pełnym rozwagi i spokoju w każdej okoliczności, oraz słodyczy dla drugich, a nie niszczycielem swego szczęścia domowego, tudzież kwasicielem siebie i innych. Jakże to smutnem jest, gdy człowiek zależy od jakiegoś humoru, kaprysu, od godzin i dni dobrych, lub złych, na niego przychodzących, zamiast postępować stale w jednym kierunku, wytkniętym przez rozum i uczucia szlachetne.

Jakże to wiele złego wynika skutkiem chorobliwego stale stanu jednostek. Złe to gnębi same chore jednostki, gnębi ich najbliższych i składa się na ogólną biedę społeczeństw i ludzkości, zwłaszcza znanej nam, niby ucywilizowanej.

Oto — im więcej mamy wśród nas ludzi prawdziwie zdrowych, spokojnych, a nie chorobliwych nerwowców-szaleńców, gwałtowników i kapryśników, tem lepiej mogą być wychowywane wzrastające pokolenia, tem więcej może być ogólnego ładu, składu i szczęścia w domowem życiu rodzin, tem pewniejsze jest ich zdrowie duchowo-cielesne, a także i mienie.

A nasze społeczne wspólne prace, czyż nie przy należytym tylko spokoju, którego brakuje ludziom chorobliwym, mogą być prawdziwie pomyślnie przeprowadzane i do oczekiwanych wyników dochodzić.

Często szczęście całych ludów i państw, wojna lub przyjaźń między niemi, dobre lub złe dla nich prawo, zależy od jakiejś lepszej lub gorszej godziny, wprost od humoru rozstrzygającego sprawę osobnika. Na poparcie tego twierdzenia — dosyć jest przywieść na myśl prawdziwe przyczyny wielu ostatnich wojen.

Smutne nieraz bardzo dzieją się rzeczy, straszne występki i ohydne zbrodnie skutkiem chorób. Oto częstokroć — z powodu jakiegoś złego humoru i rozdrażnienia, jakiejś złości skutkiem chorobliwego stanu krwi i nerwów, a przez to i umysłu, popełniane są najniegodniejsze czyny, niszczone bywa szczęście drugich z najżlejszem sercem. Następują kłótnie, obelgi czynne, poranienia, zabójstwa, a nawet morderstwa. Czyż to nie występki? czyż to nie zbrodnie?

Chłodno jednak, spokojnie rzecz oceniając, wypowiedzieć trzeba, że popełniający owe złe czyny, bardzo często nie są właściwie bezpośrednio za to winni, gdyż winne jest temu ich usposobienie chorobliwe. Jeśli wszakże ludzie z takiem usposobieniem, mogą mieć jeszcze jakieś jasne rozumne chwile, to powinni postanowić wyleczyć się ze swego chorobliwego usposobienia.

O uleczanie takich ludzi, a wychowanie młodzieży zdrowej, starać się powinien cały ogół, będący dobrej woli i rozumnej myśli. Leży to w powszechnym interesie każdego społeczeństwa i całej ludzkości. Dochodzić zaś do tego można jedynie przez życie uczciwe i porządne — jakie Bóg nam nakazał — i odżywianie się, tudzież postępowanie, w każdym względzie, w e d ł u g p r a w i w s k a z ó w e k p r z y r o d y. Wtenczas będzie coraz mniej, a nie coraz więcej występków i zbrodni skutkiem chorób.

W--w.

AMI.

Mój biedny Ami!... Wczoraj jeszcze pełen życia, łasił się u mych stóp i spoglądał w oczy niemal ludzkiem braterskiem współczuciem! Dziś leży martwy, a ja patrzę na niego z nieopisanym bólem i pytam się dla czego los mi chociaż jego zostawić nie chciał?... Wczoraj żył jeszcze... ale też to wczoraj tak było zupełnie inne od dzisiaj, takie inne, takie inne!

Biedny Ami!... Wczoraj byłam na tym ślubie, a potem Jasia odprowadziłam na kolej, bo jechał już na studja za granicę. Wszystko to uczyniłam przytomnie, jakkolwiek potrzebowałam olbrzymiego wysiłku energii, by wytrwać do końca. Moje biedne psisko szło wciąż za mną — on jeden, który mnie nie opuszczał od lat 15-tu, on jeden z całego tego rozbawionego, wesołego tłumu czuł, jakim bolem i wysiłkiem jest mój spokój i łasił się u mego boku i ręce lizał i w oczy patrzył z niepokojem.

Gdy pociąg ruszył ze stacji i mego Jasia straciłam z oczu, uczułam, że moja energia opuszcza mnie; byłam też już inną i niczyich oczu na sobie się nie obawiałam. Czułam natomiast, jak ogarnia mnie niemoc, słabość ogromna i szłam coraz wolniej; niestety! w bramie naszego domu potknęłam się i upadłam, uderzając skronią o kamienny próg drzwi, wiodących na schody i straciłam przytomność. Podobno Ami wył rozpaczliwie nade mną. Nadbiegła ciocia, zaniesiono mnie na górę, by cucić bardzo długo.

Ami, biedak, oparł łeb o moje łóżko i widocznie myślał, że umarłam, gdyż nagle zaskomlał żałośnie i — zdechł. Gdy się obudziłam, leżał rozciągnięty.

— Ami! zawołałam — Ami! — Ale on już nie żył. Tak mi go żal, tak serdecznie żal!

Dostałam go niegdyś od Zygmunta. Byłam wtedy małą dziewczynką, smutną i opuszczoną.

Ojca nie pamiętam wcale; gdy mama umierała, miałam lat dziesięć i tej okropnej chwili nie zapomnę nigdy, gdy na mych rękach zamknęła oczy na wieki, a ja zrozumiałem doskonale, że oto ja i Jaś zostajemy sami, sami bez rodziców, a zatem bez opieki i bez serc, oddanych i czułych na nasze potrzeby.

Patrzałam w obraz Matki Boskiej Bolesnej, wiszący nad łóżkiem matczynem i całą siłą mej dziecięcej duszy prosiłam: Odwróć to ode mnice! nie zabieraj nam matki, nie zabieraj! Instynkt mówił mi już wówczas, że staje się nieszczęście nieutulone, nie nagrodzone nigdy niczem.

Rodzice moi mieli w guberni mińskiej duże dobra Rohatycze; po śmierci mamy, wuj

mój i opiekun oddał je w dzierżawę. a mnie i Jasia zabrał do siebie na wieś w sąsiedztwie Rohatycz.

Wujowstwo i rodzeństwo cioteczne byli dobrzy dla nas, mnie jednak było ogromnie smutno; tęskniłam po Rohatyczach i po mamie, wśród krewnych czułam się obcą i samotną. Wujenka niecierpliwiła się tem, że jestem ciągle posępną; starałam się też być weselszą, lecz wówczas ogarniał mię strach. że zapomnę o tem wszystkiem, co mi w ostatnich dniach swego życia mówiła mama i skupiałam się w sobie jeszcze bardziej. Dla mego braciszka była też zawsze bardzo surowa.

Na święta Bożego Narodzenia przyjechał z Warszawy Zygmunt — wujowstwa syn. Był bardzo wesołym i dobrym chłopcem, wniósł też swoją osobą wiele pogody i ruchu w monotonny i pochmurny tryb życia w Lubieniu.

Dla mnie był szczególniej dobrym: nie mówił mi tak, jak inni: „Zapomnij", „Nie bądź smutna", lecz owszem rozmawiał ze mną o mamie. Rohatyczach i swem dobrem sercem nawet na tak głębokie smutki. rzucał jakieś światło spokoju i pogody. Ogromnie go lubiłam.

Od jednego z kolegów dostał był dwumiesięczne szczenię śliczne i rozumne. Odjeżdżając darował mi je.

— Helenko — powiedział — weź Ami,. będziesz więc pamiętała o mnie.

A ja wzięłam i pieściłam się z tym pieskiem i tak go pielęgnowałam troskliwie, że rósł prędko i był coraz piękniejszy. Miał śliczną, długą, jedwabistą sierść i oczy pełne wyrazu. A rozumny był, dobry i wierny, jak prawdziwy „Ami." Gdy Zygmunt przyjechał na wakacje. nie mógł się dość nadziwić memu wychowańcowi.

We dwa lata później wujowstwo zdecydowali. żebym jechała na pensję do Warszawy. Nie byłam bardzo przywiązana. ani do Lubienia. ani do jego mieszkańców, zgodziłam się też chętnie na ten wyjazd: nie chciałam się tylko rozstać z Jasiem i Ami.

Wujowstwo nie chcieli początkowo przystać na to. bym zabierała Jasia, jadąc na pensję, przeznaczoną dla panien: ja jednak czułam się zawsze opiekunką mego brata. pamiętałam wiernie słowa, któremi mama polecała mi go. Rozłączyć się z nim. byłoby to w mem mniemaniu sprzeniewierzyć się tym obowiązkom. Wierzyłam też mocno, że Pan Bóg. który według ewangelicznej obietnicy o najmniejszym robaczku pamięta. pamięta i o mnie w mej samotności i w chwilach stanowczych. w miejsce rozumu i doświadczenia, daje mi instynkt i przeczucie, których lekceważyć nie powinnam. A mnie serce krwawiło się na myśl. iż mego małego braciszka. tę czystą i dobrą. chociaż tak krnąbrną i hardą duszyczkę, zostawię w Lubieniu.

Zdobyłam się też na tyle stanowczości i energii. że zwyciężyłam i w jesieni pojechaliśmy Jaś. ja i Ami do Warszawy. Majątek nasz jest znaczny, za zdwojoną też zapłatę dano mi obok mego pokoju, drugi dla Jasia, a Ami dostał sienniczek na korytarzu przed memi drzwiami.

W pierwszej chwili czułam się bardzo osamotnioną wśród tłumu obcych twarzy i w gwarze dużego miasta. Pomału wszystko znikło mi z przed oczu. wobec olbrzymiego zapału, jaki mnie ogarnął do nauki.

U wujenki. moje dwie cioteczne siostry. Jasia i mnie uczyła francuzka. bardzo miernie wykształcona: umysł też mój spał cicho. Na pensji, światłe zdania profesorów padały na żyzną a nieobsianą glebę ciekawego umysłu dwunastoletniej dziewczynki, nie znużonego żadną pracą. któremu owszem brak było ujścia dla przyrodzonej siły i potrzeby ruchu.

Czułam się też ogromnie zacofaną w porównaniu do moich koleżanek. z których młodsze odemnie były w wyższych klasach. więc zaczęłam pracować bardzo pilnie i z tak pomyślnymi rezultatami, że doganiałam najzdolniejsze.

W grudniu jednej niedzieli, wracaliśmy ze ślizgawki: ciocia Zarzycka, Marynia. Zygmunt. Jaś. ja i nieodstępny Ami. Wieczór był cudny. mroźny i księżycowy. Zygmunt szedł obok mnie.

— Czy wiesz Helenko? Ja cię ogromnie kocham. Kiedy skończę gimnazjum i uniwersytet, będę inżynierem i z tobą się ożenię.

Nie pamiętam, co odpowiedziałam na te jego słowa, ale był to znów dla mego umysłu, potężny bodziec. gdyż ja już wówczas ogromnie kochałam Zygmunta; jego słowa dziecinne brzmiały mi, jak przysięga i ogarniały duszę niewysłowionem uczuciem szczęścia i spokoju. Przed chwilą byłam sama, opuszczona. obojętna wszystkim, a oto mój port i kochanie, i słodycz, i spokój!

Nabrałam też energii. ochoty do życia, do pracy, wiary w to życie, w które dotychczas patrzałam z trwogą.

I uczyłam się, jak ja się uczyłam! Nic dla mnie nie było trudnego, mozolnego. Oddzielne gałęzie wiedzy, szczepione pojedyńczo w mym umyśle. sprzęgły się naraz w jeden harmonijny akord głębokich myśli i prawd. Zrozumiałam nagle. jak wszystkie nauki i umiejętności uzupełniają jedna drugą, jak się wspierają i wiążą i jak szczerba w jakimkolwiekbądź kierunku nadwerężą całość.

Pracowałam też nietylko z wytrwałością, ale z potęgą zamiłowania, które domyśla się, tworzy i odgaduje, chwytając naukę nietylko literą, lecz jej ducha.

Zygmunt był w IV klasie. Zdolny bardzo i sprytny, wesoły, żywy i bardzo piękny, był ulubieńcem wszystkich, a w szkołach wiódł zawsze rej między kolegami. Przepowiadano mu świetną karjerę i nie zawiódł tych przepowiedni. Prędko dobił się chleba i stanowiska: zawsze i wszędzie wszystko śmiało mu się w życiu.

Jedna tylko ciocia Zarzycka, u której mieszkał w Warszawie, była dla niego surowsza.

— Dzielny byłby kiedyś chłopiec z Zygmunta — mówiła — szkoda tylko, że taki ładny.

— Dla czego „szkoda", ciociu? — spytałam.

— Dla czego? Dla tego, że u mężczyzn piękność powierzchowności bywa zawsze ujęta wprost z piękności duszy i że najczęściej to wszystko. co natura wyekspensuje na powab ciała, ujmie duszy i sercu. Zygmunt i dziś już, gdy dopiero pięknym być zaczyna. ku tej swojej urodzie zwraca te wszystkie myśli. usiłowania i ambicje, które skierowałyby się ku wzbogaceniu jego wewnętrznej istoty. Głowy nie... głowa nic tu nie traci: wykształcenie umysłu u ludzi próżnych bywa też niestety! często szatą tylko, strojem, w którym im do twarzy, więc to ocaleje łatwo. nie przeniknie jednak tak całej istoty człowieka, by go przez wykształcenie uczynić rozumnym i dobrym. Dobroć w całem znaczeniu tego wyrazu. energiczna i silna a spokojna. to jest jeszcze więcej niż wykształcenie i stosy nabytych wiadomości.

Nie oceniałam wówczas całej głębi tych słów, a o ile Zygmunt na nie zasługiwał, nie wiem; lubiłam go tak ogromnie, że wszystkie wady. jakie posiadał, wydawały mi się błahe na tle drogiego mi usposobienia i tych cudnych szafirowych oczu.

Widywaliśmy się często: u cioci Zarzyckiej. u której z Jasiem spędzałam niedziele i święta. na ślizgawce, pensjonarskich zebraniach i w moim małym pokoiku, której w owe czasy sama sprzątałam. stroiłam, jak gdyby na uroczystość w życiu, którą czcić trzeba. I miałam słuszność.

Siadaliśmy też we troje: Zygmunt, Jaś. ja i wierny Ami. i tak było dobrze. ciepło, pogodnie i błogo! Gawędziliśmy, układali przyszłość z drobiazgową dokładnością, reformowali świat z całym idealizmem lat młodzieńczych, który ma tak niezmąconą wiarę w siłę swej dobrej woli i w zwycięztwo dobrego nad złem!

W moich naukach Zygmunt mi był pomocą, w wątpliwościach najwyższym autorytetem. Edykacją i wychowaniem Jasia zajmowałam się z zapałem. Zygmunta rady zasięgałam we wszystkiem, słuchałam go chętniej niż opiekunów.

On był dla mnie bardzo dobry.

Wiedziałam o tem. że jestem, i nie ładna. i niezgrabna na zabawach, i zebraniach, odczuwałam to nieraz w postępowaniu ludzi ze mną. On jeden tak był zawsze delikatny i wyrozumiały, że dusza moja uczepiła się tej jego dobroci z bezgraniczną ufnością.

Po świetnem ukończeniu gimnazjum wyjechał na studja za granicę. Rok stał mi się długi, nieskończenie długo. Ja też w tym czasie ukończyłam pensję, Jaś chodził do gimnazjum i uczył się dobrze. Zamieszkaliśmy przy cioci Zarzyckiej.

Pomimo ukończenia nauk cały mój czas poświęciłam czytaniu, studjum, notatkom. Zwłaszcza dziedzina historji, teologii i filozofii pociągała mnie niewymownie. Próbowałam nawet swego pióra, pisząc recenzje literackie i korespondencje, a obserwacje swoje z dziedziny psychologii związałam śmiało w dość obszerne studjum. które doznało zupełnie z mej strony nieoczekiwanego uznania.

To jedno zajmowało mnie jeszcze i skracało chwile smutku i tęsknoty. Zauważyłam przytem, że zajmuję się często ręczną robotą, a nawet czytam. a myśl płynie swoim torem i smuci się. i tęskni, chcąc zaś pisać. trzeba koniecznie choć na chwilę wyzwolić się z wszelkich pęt i myśl skierować w jednym tylko kierunku.

Chwyciłam się też pióra i autorstwa, jako ulgi, jako ratunku, gdyż czasem zdejmował mnie strach, że zdziwaczeję, mając myśli zamknięte w jednej ciasnej dziedzinie, nie popartej rzeczywistością.

Pierwszy rok walczyłam z sobą odważnie; gdy upłynął i nadeszła wiosna, tak upragniona. tak oczekiwana, a ja Zygmunta zobaczyłam zaledwie tylko godzin kilka, przez które się zatrzymał w Warszawie. jadąc na Litwę do rodziców — smutek mój zwiększył się jeszcze.

Serdecznym był dla mnie, to prawda; chwilę nawet, pod urokiem tych godzin kilku, byłam szczęśliwą, ale potem w tych nieskończonych godzinach samotnych wieczorów zastanawiałam się. dla czego mi poświęcił tak mało, tylko godzin kilka, mnie swojej narzeczonej? Nie przypominałam mu nigdy, to prawda, że się nią czuję, że mnie nią sam uczynił przez tę czułość i poufałość, z jaką postępował ze mną przez lat cztery. ale ja pamiętałam to wszystko wiernie.

Mnie nic nigdy nie zajmowało nawet, coby choć dalekiego nie miało związku z nim, jego pracą, lub miejscem pobytu: jeżeli czytałam, pracowałam tak wiele nad sobą, to na to, by być godniejszą jego bystrego umysłu i zasobnej głowy; jeżeli pisałam — to w nadziei, że jeżeli nie powabem, który posiadają inne, to może pracą, może uznaniem innych przypomnę się jego pamięci, jeżeli już nie sercu!

Nie wrócił już takim, jakim pojechał, nie wrócił!

W kilka lat znów zamieszkał w Warszawie i znów widywaliśmy się często i czułam, widziałam, jak obojętnieje dla mnie, a jednak nie miałam siły przestać wierzyć w jego obietnicę. Przychodził często smutny, a ja w uniesieniu przywiązania zapominałam o sobie i wydobywałem z niego zwierzenia, któremi krwawił mi duszę, nie spostrzegając tego bynajmniej.

Wmawiałam w siebie. że to jego młodość szumi, że jest śliczny i ujmujący, więc kobiety kokietują go i bałamucą pomimo jego woli i udziału i pocieszałam się tą zmiennością upodobań w tej upartej nadziei, że moje ogromne przywiązanie go przezwycięży...

Nie zwyciężyło jednak. ani go nie zdobyło...

Przyszła silniejsza nawałnica tej zimy: nie widywałam go prawie wcale, aż wreszcie jednego wieczora wpadł do mnie gwałtownie, wołając nieledwie od proga:

— Helenko! ona będzie moja! będzie, za miesiąc pójdziemy do ołtarza!

I poszli...

Byłam wczoraj na tym ślubie i widziałam ją: przystojna, wysoka blondynka, wesołej twarzy. lat około trzydziestu, czoło w lokach, nosek zadarty, oczy zalotne bardzo.

Zygmunt spostrzegł mnie, gdy wracali od ołtarza: wyciągnęłam dłoń do niego.

— Helenko! — rzekł, całując mą rękę — ciesz się ze mną, bardzo jestem szczęśliwy!

— Nie, Zygmuncie, tego nie mogę! Czyniłam zadość najdrobniejszym twoim życzeniom, ale tego nie mogę.. I co ci już po tem? co ci po tem?

Jaś pojechał na studja za granicę i mój Ami mnie opuścił... Nie mam już nikogo teraz, nikogo...

Iris.

Teatr — koncerta — widowiska

Mamuty, komedja w pięciu aktach Michała hr. Dzieduszyckiego.

Zaniedbany od wieków pod względem ekonomiczno-społecznym kraj nasz, gwałtownie budzi się do nowego życia z rozwojem oświaty i nowych prądów, które z zachodu przypływają i porywają go w swoje objęcia.

Nie dziw, że w takim gorączkowym postępie, na każdym kroku walka o byt przybiera ostrzejsze formy, a występują w niej do boju nietylko najsilniejsi, lecz i najsprytniejsi, przy których najczęściej... zwycięstwo.

Ci najsprytniejsi, jeżeli są uczciwymi, zdobywają pozycje społeczne i tak być musi, jeżeli zaś spryt ich skierowanym jest do oszukania tych łatwowiernych, są społecznymi korsarzami i typami, których w kraju naszym nie wiele chyba się znajduje.

Tę walkę ekonomiczną na tle rozwoju przemysłu naftowego, przemysłu, który, o ile nie jest prowadzonym racjonalnie i po odbyciu potrzebnych studjów, jest najbardziej podobnym do giełdy, oraz gry hazardowej, przedstawia nam autor, Michał hr. Dzieduszycki w swym najnowszym utworze. Lecz zdaniem naszem, z błędnego wychodzi założenia twierdząc, że szlachcic stworzonym jest tylko do roli i pługa, a nie do przemysłu, bo w walce ekonomicznej brak mu sprytu i ochotności, którą autor fałszywie identyfikuje z.... nieuczciwością i oszustwem, dobierając dla wrzekomego uzasadnienia swej tezy, typy à la Złotnicki i Ropicki.

Co do budowy sztuki, to świadczy ona pod względem technicznym, że autor wszedł pierwszy raz w szranki sceniczne. Obok wielkiej rozwlekłości, która razi powtarzaniem i monologowaniem, niektóre sceny przypominają nam żywcem nieprzerobione nawet efekta Labicha np. „Polowanie na zięciów.“ Mimo to jednakże są w „Mamutach“ epizody zwłaszcza w 3 akcie świetne i pełne humoru dawnej daty, które ratują sztukę, świadczącą bezwątpienie o talencie autora.

Przechodząc do oceny gry artystów, podnosimy przedewszystkiem grę i charakteryzację pp. Chmielińskiego i Ruszkowskiego, którzy stworzyli typy prawdziwie doskonałe. Na wzmiankę zasługuje p. Walewski, który wlał w swą rolę wiele inteligencji i prawdy, mimo, że dano mu ją na kilkanaście godzin przed przedstawieniem. Pp. Cichocka i Bednarzewska w niewielkich rolach matki i córki, które nie dawały pola do popisu, okazały w grze wiele szlachetnego stylu.

P. Hierowski rolę Złotnickiego odegrał doskonale. P. Feldman był wybornym dyrektorem spółki nafciarskiej, a p. Wostrowski rolę młodego Krasnostowskiego może zaliczać do najlepszych swoich ról. P. Wysocki epizodyczną postać Marjana Koguta odegrał z pewnem zacięciem i charakterystyczną rubasznością. P. Grabowiecki w roli Żabiestowskiego odznaczył się grą pełną szlachetności i energji. Teatr był pełny, autora wywołano kilkakrotnie.

I. P.

Opera. Po wystawieniu *Goplany*, najbardziej interesującymi wypadkami kroniki teatralnej są gościnne występy. Pani Zofia Konarska, poprzedzona już sławą, wystąpiła w *Halce* w tytułowej partji, która, nietylko ze względów wokalnych, lecz i gry aktorskiej, oraz warunków artystycznych, należy do popisowych w repertuarze utalentowanej śpiewaczki. Halka w śpiewie i grze p. Konarskiej — przedewszystkiem posiada świeżość, przymiot, o którym stare nasze Halki pomału zapominać nam kazały... Siłę w grze samej, w pojęciu dostrzegliśmy u p. Konarskiej daleko większą, aniżeli u innych, a pewne tradycje artystyczne, które na warszawskiej scenie przechowały się jeszcze z czasów ś. p. Rivoli, *pierwszej* Halki, tradycje szlachetne, p. Konarska w swojej prześlicznej grze zamknęła.

Pani Konarska jest śpiewaczką pierwszorzędną, w najszlachetniejszym stylu. Występy tej artystki są niezmiernie interesujące. — Występy p. Bandrowskiego obudziły sympatyczne zainteresowanie. We Lwowie śpiewał w operetce i trochę w operze. Krytyka okładała artystę lodem. Nikt nigdy i nigdzie przy początkach karjery smarowany miodem nie był, a ten, co czasem był, to mu się miód na nic nie przydał i rozlizano go... w mierność. Bandrowski wyrósł w Niemczech na tenora Wagnerowskiego — zajął on tam stanowisko niedawno zmarłego ś. p. Mieczysława Kamińskiego. Jest to indywidualność wokalna i artystyczna szerokiej miary, bujna, ale miarkująca się zawsze pewną trzeźwością i zmysłem praktycznego dojścia do artystycznego celu.

Mówią że Lohengrin Bandrowskiego, uważany jest w Niemczech obecnie za najlepszy. Wierzymy w to.

Ale p. Bandrowski po za obrębem partyj Wagnera wyrósł na znakomitego śpiewaka — europejskiej prawdziwie sławy. Jego kreacje dyszą życiem, a piękny i silny tenor bohaterski podnosi je do szczytu artyzmu prawdziwego.

Odśpiewany był u nas Lohengrin, w ogóle, dobrze. Składały się na to siły pp. Jeromina, Górskiego, Kasprowiczowej Camilowej i Kleczyńskiej. Ta ostatnia śpiewaczka po raz pierwszy u nas śpiewała Elzę. Artystka to początkująca i nic nie można o niej powiedzieć stanowczego.

Z uznaniem podnieść musimy jedną okoliczność. Pan Bandrowski, mimo, że będąc stałym członkiem opery w Frankfurcie musi śpiewać ciągle po niemiecku — nietylko Lohengrina, ale wszystkie partje śpiewa w polskim teatrze po polsku. Pan Bandrowski jest tak znakomitym śpiewakiem, a długo przebywającym na obczyźnie, że, niezawodnie, wybaczonoby, gdyby zwyczajem naszych włochów z pod Kulikowa, Tarnopola i Kazimierza, symulował libretowe zwłoszczenie — ale p. Bandrowskiemu zawód artysty i znakomite europejskie w nim stanowisko, nie podgryza solidarności narodowej, a czując w jakiem położeniu jesteśmy, chce razem ze swojem społeczeństwem czuć i cierpieć.... Toż w tych wieńcach i oklaskach, które płyną z teatrów polskich — oprócz uwielbienia dla znakomitego talentu, jest błogosławieństwo dla polskiego artysty na obczyźnie.... *Bis.*

Amulet, pośmiertna komedja w 4 aktach śp. Sawiczewskiego nie przysparza listka wawrzynu do sławy autorskiej przedwcześnie zmarłego autora pomienionej komedji i premiowanej na konkursie galicyjskiego wydziału krajowego.

Na bezdrożach. Jest to utwór młodzieńczy — studencki. Prawie nie ulega wątpliwości, że *Amulet* napisany był w samym zaraniu pisarskiej karjery, a *Na bezdrożach* napisał autor później. *Amulet* nie posiada najmniejszego błysku oryginalności w pomyśle samym, a postacie w komedji właściwie kopiowane są, a nie samodzielnie rysowane. Pomysłowości też w sytuacjach niema żadnej, tylko skłonność do karykaturowania sytuacyj, lub postaci spowszedniałych i zużytych. Staranność i pomysłowość gry naszych artystów wiele przyczyniła się do uwydatniania niektorych lepiej nakreślonych scen. W głównych i wydatnych rolach podnieść należy grę pp. Chmielińskiego, Stachowiczowej, Czaplińskiej, Hierowskiego, Ruszkowskiego Wostrowskiego, Feldmana, Walewskiego, Gromnickiej, Grabowieckiego, Nowackiego, Gottowt, Jankowskiej i innych.

Nietensam.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości

Przeciwko dżumie. Kwestja zastosowania surowicy do środków walki z dżumą, zaczyna coraz mocniej zajmować wybitniejsze powagi lekarskie, które jednomyślnie wyrażają zdanie, iż rezultaty dokonanych w tym kierunku prób, nie pozwalają lekceważyć zastrzykiwań podskórnych surowicy krwią ze zwierząt, którym zaszczepiono dżumę.

Wiadomo, iż lekarz francuski Yersin, który odkrył mikrob dżumy, dokonywał w roku ubiegłym próby surowicy antidżumnej w Hong-Kongu. Dyrektor laboratorjum w instytucie Pasteura, doktor Marmurek, bawiący w tych dniach za interesami w Wiedniu, oświadczył współpracownikowi gazety „Neue Freie Presse“, iż próby Yersina surowicy koni zarażonych dżumą istotnie dowiodły, iż drogą tą można ochronić ludzi przed zarazą. Najważniejszą trudność, jaką miał do przezwyciężenia w zadżumionem mieście chińskiem polegała na braku koni. Oprócz tego okazuje się, iż konie, z których otrzymuje się krew do wyrobu płynu antidżumnego, nie wytrzymują powtórnego szczepienia, wskutek tego należy mieć do rozporządzenia znaczną liczbę tych zwierząt. Z każdego konia można otrzymać około dziewięciu litrów surowicy, co przy znacznym procencie chorych na dżumę jest kroplą w morzu w walce z zarazą taką, jaka grasuje w Bombaju i szybko rozszerza się ku lądowym granicom Indyj.

Wobec możliwego pojawienia się epidemji w Europie, należałoby wziąść pod uwagę trudności i zwłokę przy przygotowaniu surowicy. Takież zdanie wyraził dr. Brouardel na posiedzeniu paryskiej komisji zdrowia. — „Dżuma zagraża Europie — rzekł Bouardel — i może każdej chwili pojawić się w pierwszym lepszym z naszych portów. Może być przeniesiona za pośrednictwem nietylko ludzi, lecz i rozmaitych przedmiotów wywiezionych z Indyj. Tymczasem środki ochronne są jeszcze tak mało rozwinięte, iż zaraza mogłaby rozpowszechnić się bez wszelkiej przeszkody. Posiadamy surowicę, dzięki której procent śmiertelności na choroby zaraźliwe zmniejszył się z 80 na 10, ale surowica ta nie skutkuje w dżumie i na wypadek pojawienia się strasznego gościa z Azyi, nie będziemy mieli pod ręką surowicy antidżumnej w ilości dostatecznej. Co wtedy uczynimy?

Surowica krwi z krowy nie może być otrzymaną w ciągu godziny. To, co się działo w naszych oczach po odkryciu limfy przeciwko dyfterytowi, jest tego dowodem. Wtedy, jednak, lekarze nie mieli do czynienia z zarazą epidemiczną, a mimo to upłynęło trzy miesiące zanim otrzymano surowicę końską w ilości dostatecznej do walki z chorobą dziecinną. Jeżeli zajrzy do nas dżuma, wtedy potrzeba będzie nie litrów, ale niezliczonej ilości metrów kubicznych. Jak zwyciężymy te trudności?“

Na zakończenie, dr Brouardel jeszcze raz zaznaczył konieczność przygotowania w czasie, jak najkrótszym dużej ilości surowicy antidżumnej.

Od Redakcji i Administracji.

Z w Chicago. Kredyt prenumeracyjny dla „rodaków“ w Ameryce — to... pisanie na Berdyczew....

F. L.w L. Jedno zamieściliśmy — prosimy o więcej.

Dopytującemu. Jeśli tak było powiedziane, to bardzo źle i absolutnie godne potępienia — ale nam się zdaje, znając dobrze stosunki lwowskie, że to musiało być inaczej. Zresztą, redaktor od dłuższego czasu był chory, a on tylko w stanie jest dojść prawdy. Czy jednak, zrobiłby z tego publiczny użytek wątpimy, bo to, w każdym razie, jest demoralizujące....

Miłośnik w Poznaniu. Wiemy, że stosunki teatralne w Poznaniu są fatalne — praca też obecnego dyrektora tem godniejsza uznania i poparcia.

X. Y. w Paryżu. Nie umieścimy.

Polak w Londynie. Towarzystwo, o które się pan zapytuje, już się w Londynie rozwiązało — przynajmniej poczta zwróciła nam numer z nadpisem, że nie istnieje.

Autorom wierszy: „Lalka“, „Cukierki“ i „Wydma“ — utwory panów drukowane nie będą.

Od Ekspedycji.

W skutek okoliczności niezależnych od redakcji, z Nr. 4 bieżącym „Gońca i Iskry“, rozesła się jednocześnie Nr. 3-ci „Gońca i Iskry“, całkowicie illustrowany i Nr. 3-ci „Wesołego Kurjerka,“ zaś całkowicie illustrowany Nr. 4 „Wesołego Kurjerka“ rozesłany będzie razem z Nr. 5 „Wesołego Kurjerka“.

Następne numera bieżące „Gońca i Iskry“ oraz „Wesołego Kurjerka“, ekspedjowane będą w swoim czasie.

Nadesłane.

Po dłuższych studjach w Stockholmie osiadł we Lwowie

Dr. J. DUKIET

i ordynuje na sposób szwedzki

Gimnastyką leczniczą

(ortop. massage i elektryką)

w wadliwej lub wątłej budowie ciała — w porażeniach, niedowładzie i osłabieniu, w rekonwalescencji, upar. tej błednicy i histeryi — w cierpieniach stawów, ścięgień, mięśni i nerwów, po uderzeniu, zwichnięciu, złamaniu lub reumatyzmie powstałych — w cierpieniach trzewi, zwłaszcza **w chorobach serca i chorobach kobiecych.** ul. Słowackiego l. 2. od godziny 3. do 5. (6803—4—1).

Doborowe sukna i materje wełniane w najmodniejszych wzorach na wszelkie ubrania, poleca znana fabryka firmy

Sternickel i Gülcher

w Białej, w Galicji

(6582-st.-6).

Wszelkie wyroby, wchodzące w zakres tokarstwa, wykonuje najstaranniej i najspieszniej na parowej tokarni zakład p. **Mikołajskiego w Krakowie** przy ul. Długiej. (p.—2—2)

Zwraca się uwagę na **kawiarnię europejską**, prowadzoną przez p. Stanisława Włocha w **Krakowie, przy placu Szczepańskim.** Kawiarnia ta wzorowo urządzona, zaopatrzona w najpoczytniejsze dzienniki, oraz posiada wzorową służbę. Ceny umiarkowane. (p.—2—2)

Dr. Marcin Horowicz

otworzył kancelaję adwokacką we Lwowie przy ulicy Trzeciego Maja l. 8. (6811 — 3—1)

Na jadeny we Lwowie *wielki madazyn mebli* prowadzony pod firmą p. *Józefa Kirschnera* przy placu trybunalskim l. 1. zwraca się ogólną uwagę. Magazyn ten zaopatrzony jest przeważnie w nadzwyczaj gustownie i stylowo wykonane meble z materjału suchego.

Oprócz mebli z drzewa magazyn zaopatrzony także wielki wybór mebli żelaznych, luster, w ramach złoconych i orzechowych, pająków z bronzu i szkła, materyj i aksamilów na meble; oraz główny skład mebli z drzewa giętego o nadzwyczaj pięknem wykonaniu. Firma powyższa istniejąca we Lwowie od szeregu lat powodując się zawsze rzetelnością czom dajo największą rękojmię, iż kupująca publiczność w tym magazynie meble, w zupełności zadowoloną będzie.

(6810 — 2—1)

„Janina" zakład fotograficzny w Nowym Sączu, zaopatrzony w doskonałe aparaty i utensylja, wykonuje najstaranniej wszelkie zdjęcia fotograficzne o każdej porze dnia. Ceny bardzo umiarkowane.

(6824 — 2—2)

Tomasz Sapak, firma fabryczna w Przemyślu, ul. Mickiewicza l. 7. dostarcza wszelkich przyborów uniformowych dla armji i pp. urzędników państwowych, poleca swoją filję we Lwowie przy ul. Teatralnej pod l. 7. — w której dotyczące osoby zaopatrywać się mogą po bardzo umiarkowanej cenie we wszelkie przybory uniformowe, jak również wielki wybór czapek doskonałego własnego wyrobu. Zamówienia uskuteczniają się najpunktualniej. (6798-2-2)

Specjalista w chorobach uszu, nosa, gardła i krtani

Dr. Zygmunt Spalke

b. asystent-demonstrator kliniki chorób uszu prof. Grubera, lekarz kliniki laryngologicznej prof. Störka w Wiedniu ordynuje od 11—12 i od 3—5 ul. Grodzickich liczba 4. I. piętro. (6704-3-3.)

Zwracamy uwagę Szanownej P. T. Publiczności, że w nowo otworzonej Mleczarni dóbr: Przeworsk, Laszki Borynicze, Lwów plac Smolki l. 5. otrzymać można produkta nabiałowe w plombowanych naczyniach z wielkiem udogodnieniem przez odstawę do domów. (6703-3-2.)

Handel korzenny prowadzony pod firmą p. Pańków w Kamionce Strumiłowej, poleca codziennie wyborowe towary korzenne, różnorodne wina, wódki krajowe i zagraniczne, oraz doskonałą herbatę. Ceny przystępne. (6805 — 2—1)

Ctworzyłem

Skład win węgierskich

przy ul. Karola Ludwika z. 26. Hotel Belle-vue).

Znakomitością dostarczanych win a co ważniejsza prawdziwością tychże spodziewam się znaleść licznych odbiorców wsród Szanownej P. T. Publiczności, tem bardziej, że nie potrzebuję pociągać takowe od tak licznych a niesumiennych pośredników, gdyż posiadam **własne piwnice w Tallya i A. Szanto obok Tokaju na Węgrzech.** Licząc na łaskawe względy Szanownej P. T. Publiczności kreślę się z głębokiem poważaniem

(6813 2 1.) **Wilhelm Lipschitz.**

C. k. uprzywilejow.

FABRYKA SZKŁA

taflowego i zwierciadłowego

KUPFER & GLASER

Lwów.

ul. Kaźmierzowska l. 28

poleca swe

najlepsze wyroby krajowe

Szkła w taflach

we wszystkich jakościach i rozmiarach zwłaszcza szyby solinowe (6664-?-6) (belgijskie)

Szkło dachowe

kolorowe, matowe i w deseniach.

szkło zwierciadłowe

jak i lustra w ramach i t. p.

oszklenia nowych budowli wykonuje się pod gwarancją najstaranniej. Diament do rżnięcia szkła.

Restauracyę, piwiarnię pilzneńską i handel win poleca

Zygmunt Zehngut

w Hotelu Lazarusa

Lwów, ul. Karola Ludwika 23.

Zdniem 1. Stycznia 1897 nowo otworzony

Dom towarowy

pod protokołowaną firmą

KORYBSKI, ŚLASKI i Spka.

w Krakowie, biuro: ulica Św. Anny liczba 3.

dla importu towarów kolonjalnych, spożywczych etc. etc. i eksportu produktów krajowych, poleca się łaskawym względom P. T. Pp. Kupców i Producentów. (6796—6—2)

Pierwszy galicyjski

Import. Eksport.

DOM DLA ZIEMIAN

Lwów

Jagiellońska 15. I. p.

przyjmuje wszelkie zlecenia w zakresie rolnictwa i przemysłu rolniczego.

Główny Skład Nasion

badanych przez rolnicze stacje doświadczalne.

Dom dla Ziemian dostarcza oryginalnych nasion o gwarantowanej sile kiełkowania i zupełnej czystości ziarna.

Dom dla Ziemian kupuje zawsze konicze, tymotkę, rzepak itd. itd. w każdej ilości.

Dom dla Ziemian utrzymuje własne składy towarowe i udziela zaliczek na towary złożone i oddane do komisowej sprzedaży. (6789-3-3)

Dom dla Ziemian czyści i sortuje na własnych maszynach zboże i nasiona oddane do komisowej sprzedaży.

Żywiecka

Fabryka Sukna

„Bogucki, Kossuth, Kapecki"

wyrabia wszelkie tkaniny w zakres sukiennictwa wchodzące, jako to: sukna gładkie dla Duchowieństwa świeckiego i zakonnego, dla Szkół, Sokołów, Straży ogniowych, Skarbowości, Wojska i t. p. korty, szewioty, palmerstony i t. p. na ubrania cywilne, tkaniny z wełny czesankowej (kamgary), wielbłądzkiej i t. d., uznane przez znawców, jako wyrobione z dobrej wełny, starannie wykończone i stosunkowo tanie. Na sezon obecny fabryka przygotowała odpowiedni dobór towaru w modnych barwach i wzorach, który nabywany być może z pierwszej ręki po cenach fabrycznych: w składach głównych: 1. We Lwowie B. Mikuliński & L. Krokowski na placu Marjackim, hotel Żorża. 2. W Krakowie (kierownik p. S. Łysakowski) w Bazarze krajowym na ulicy Wiślnej św. Anny. W Stanisławowi w Składzie fabrycznym (kierownik p. M. Sierakowski) przy ulicy Kaźmierzowskiej dom Wgo Dankiewicza. Składy te są w stosunku z najlepszymi krawcami miejscowymi, którzy zobowiązali się wykonać roboty według cen możliwie umiarkowanych. (6641-8-7)

Przezacne Panie! (6657—12—9)

Spróbujcie tylko raz wyprasować „BAŻANTA" krochmalem brylantowym do nacierania, a przekonacie się, że jest **o wiele praktyczniejszy i lepszy od innego**. Żądajcie więc tylko:

„BAŻANTA" krochmal brylantowy

odznaczony dużym medalem srebrnym w roku 1894.

Do nabycia we wszystkich handlach korzennych.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Kazimierza Wiesnera ul. Akademicka l. 16